

— Pan?... — zdziwił się kapitan.

— Tak; pragnąłem upewnić się, czy jedzie do Paryża. W tem ubraniu służącego kolejowego mogę czuć nad nim przez całą noc. Już go nie opuszczę. Niech pan wróci na swój okręt, panie kapitanie i pozwól podziękować sobie. Może oprócz sławy, która uwieńczy mą karierę policyjną, panu będę zawdzięczał sto tysięcy franków, które bank w Chicago przeznaczył na nagrodę za aresztowanie złodzieja. Będę już mógł przedzierzgnąć się z agenta w hreczkosieja, co oddawna stanowi moje i mej matki marzenie.

Uchylił grzecznie czapki i wskazując na ulicę, rzekł uprzejmie:

— Niech pan pójdzie tym bulwarem aż do drugiej ulicy i skróci na prawo, potem przy trzeciej na lewo i na końcu ujrzy pan port...

I pozostawiając na miejscu kapitana, wskoczył do pociągu, który wkrótce ruszył, unosząc z sobą dwóch ludzi, od tej chwili już nie rozłączonych z sobą.

II.

Nowy opiekun.

Następnego dnia około dziesiątej rano pociąg z Marsylii wtoczył się z hałasem na dworzec. Z wagonu sypialnego wyszedł powoli jakiś cudzoziemiec i przeciskając się przez tłum ludzi, zgromadzonych przy innych wagonach, skierował się ku wyjściu. Średniego wzrostu, w miękkim kapeluszu, ubrany w jasny kostium, trzymając w ręku złotą walizę, niczem nie zwracał na siebie uwagi, chyba tylko faworytami, przystrzyżonymi na modę południowo-amerykańską, które nadawały mu jakiś egzotyczny wyraz, najlepiej określony paryskim słowem: *rastaquoué*.

Przed dworcem rozejrzał się dookoła, jakby chciał się zorientować w miejscowości, potem po krótkim wahaniu skierował się do znajdującej się w pobliżu stacji omnibusów, wszedł na imperial pierwszego wozu i zapalając cygaro czekał, aż omnibus ruszy. Przytem wszystkim nie spostrzegł tylko, iż z wagonu wysiadł za nim jakiś mężczyzna i na chwilę nie spuszczał go z oka, usadowiwszy się w pobliżu niego w dorożce. Był to niski mężczyzna o siwawych wąsach, w czarnym ubraniu, w binoklach o wyrazie twarzy starego urzędnika. Z dorożki swej mógł on doskonale przyglądać się gościowi w omnibusie, który siedział zwrócony do niego plecami. W oczekiwaniu na odjazd zaczął rozmyślać o przedmiocie swej obserwacji.

— Jak na tak sławnego oszusta nie wydaje mi się wcale przezornym. Zapomina, że policja nie daje się tak łatwo wywieść w pole. Szczęśliwy wypadek pomógł mu wiele, lecz niestety i mnie się on przytrafił, bo gdybym nie znalazł się w komisaryacie razem z tym dzielnym kapitanem, mój jegomość spacerowałby spokojnie ze skradzionymi milionami. Teraz jednak, gdy mam go już na oku, słowo Lapipa, że nie umknie! Przyznaję, że plan jego był wspaniały, lecz na końcu teraz poślizgnęła mu się noga. Cóż to za myśl siadać jak porządny mieszczuch na imperyalu w omnibusie, kiedy daleko prościej było zmieszać się z tłumem przy podziemnej kolei, gdziebym prędko zgubił jego ślad. Zbyt jest pewny siebie i nie pomyślał, że złoczyńca winien najwięcej mieć się na ostrożności wówczas, gdy uważa się za zabezpieczonego. Na twarzy jego pojawił się uśmiech na wspomnienie planu strategicznego, jaki mu się wczoraj wieczorem udał.

— Istotnie — myślał — trudno było rozpoznać agenta Lapipe w służącym kolejowym, który odniósł mu do wagonu walizę i czuwał przez całą noc, by go opuścić tylko na godzinę przed przybyciem do Paryża dla przebrania się w inne ubranie. Wkrótce dowiem się, gdzie ptaszek myśli skryć się; znak telefonem do prefektury i zostanie schwytany w gniazdku...

Tymczasem woźnica wdrapał się na kozioł omnibusu, pociągnął lejcam, trzasnął batem i wielki wóz pełen pasażerów ruszył naprzód, a za nim dorożka z agentem.

Lapipe nie tracił ani jednego ruchu jegomościa,

którego postanowił śledzić. Po zanotowaniu w notesie numeru omnibusu, zapisał sobie dla pamięci, iż „jego“ człowiek wyciągał często z kieszeni małe lustreczko, w którym przyglądał się i cesał swe ciemne faworyty. Zauważył także, iż po zapłaceniu biletu na imperialu, zażądał biletu przenośnego na inny omnibus.

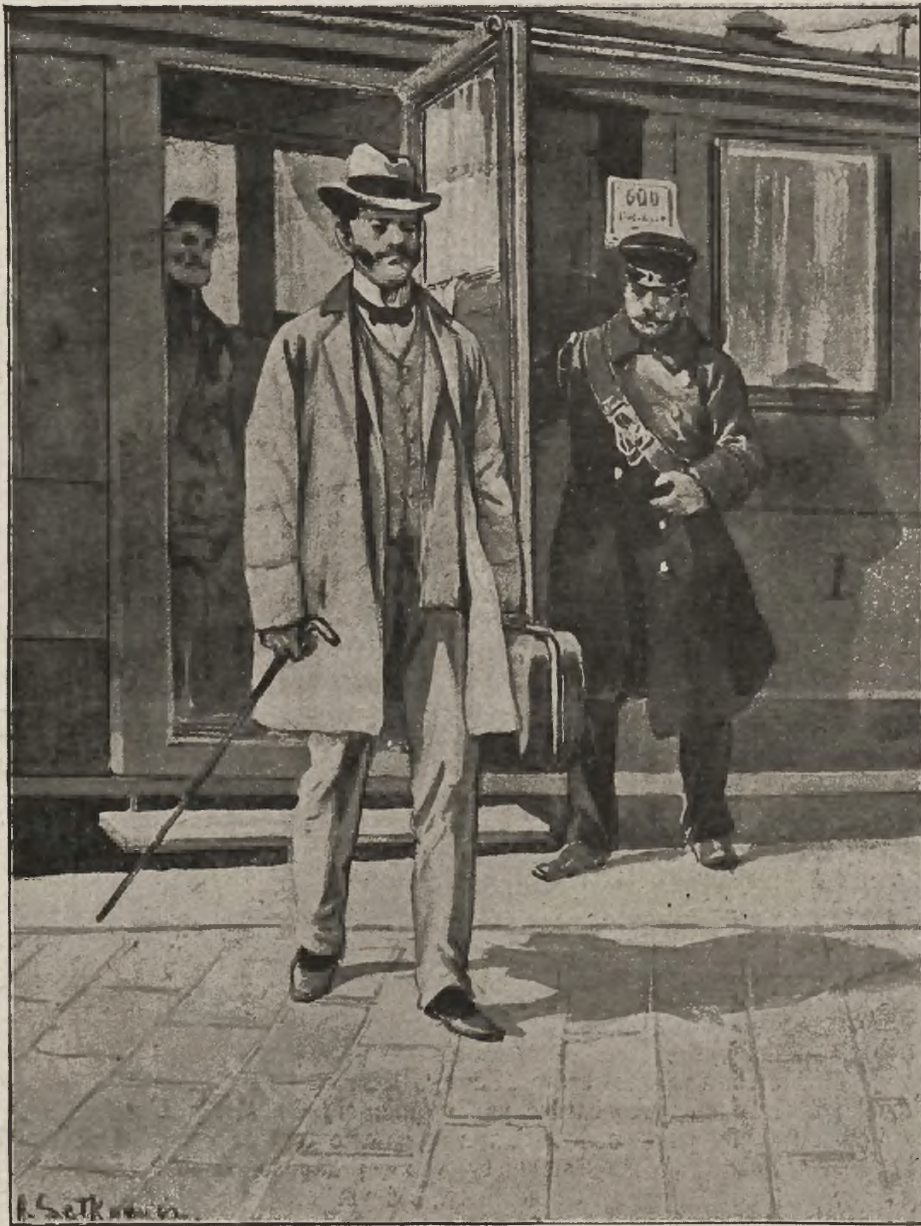
— Niema tak dobrego szczegółu, któryby mi się nie przydał po tem — szepnął do siebie. — Zwykła szpilka zgubiona przez złoczyńcę naprowadza nieraz na jego ślady...

Omnibus wjechał już na wielkie bulwary, gdy naraz zaszedł niezwykle wypadek, który podajemy według opisu dzienników:

„Dziwny zbawca.

Dzisiaj rano na bulwarze Poissonniere przechodnie byli świadkami dramatycznej, pełnej oryginalności sceny, w której pewien nieznanomy okazał rzadką zimną krew i nadzwyczajną zrzeczność.

Koło godziny jedynastej omnibus Nr. 256



Z wagonu sypialnego wyszedł powoli jakiś cudzoziemiec.

znajdował się przy ulicy Hauteville, gdy dwie panienki, około dwunastu lat, każda jadąca w towarzystwie służącej, dały znak konduktorowi, by zatrzymał omnibus. Na nieszczęście zapomniały one o rozporządzeniu policyjnym, przybitym w każdym omnibusie — ale tak wysoko, że trudno go dojrzeć okiem — które radzi, „by pasażerowie nie odsuwali się od wozu do tej pory, póki nie przekonają się, że ulicą można przejść spokojnie“.

W chwili właśnie gdy zstępowały na bruk z ulicy Hauteville, wybiegł rozradowany koń, zaprzężony do bryczki i przewrócił dwóch strażników, chcących go zatrzymać. Przerazenie ogarnęło przechodniów: biedne dziewczynki nie miały już czasu dobiec do trotuaru i byłyby zostały roztratowane, gdy nagle rozległ się strzał i koń trafiony w czoło, padł na ziemię na metr tylko przed ocalonemi w ten sposób dziećmi.

Strażnicy Stojak i Chodzik, ofiary swego poświęcenia, zostali przeniesieni do szpitala. Stan ich, chociaż nie ciężki, wymaga jednak kilku tygodni spoczynku.

Dodać musimy, że skrupulatna policja, która nigdy nie zapomina o swych prawach,

wystosowała oskarżenie przeciw zręcznemu nieznanemu za noszenie broni zakazanej; kula znaleziona w czaszce konia, wskazywała na niedozwolony kaliber rewolweru“.

Pod opisem tego wypadku, czytelnicy znaleźli przedstawienie inne, również rzadkiego faktu:

„Szlachetny filantrop.

Na wielkich bulwarach, naprzeciw teatru „Nowości“ zebrała się w południe grupa ludzi dokoła młodej pięknej dziewczyny, która załłośnie płakała na ławce.

Zapytana o powód żmartwienia, odrzekła, że jakiś chłopiec oblał farbą suknię haftowaną, którą odnosiła właścicielce. W ten sposób utraciła nie tylko swój kilkutygodniowy zarobek, lecz ponadto musi obecnie zwrócić należność za zniszczoną materję, a nie ma z czego, gdyż żyje tylko z pracy swych rąk.

Jakiś przechodzień, który słyszał jej opowiadanie, zbliżył się do niej dyskretnie i wsunął jej w rękę banknot pięćsetfrankowy. Gdy podniosła się, by mu podziękować, szlachetny ofiarodawca znikł niepostrzeżenie w tłumie.

Panna Izabella Levassewi, hafciarka, mieszkająca przy ulicy Chemin-Vert 34 w Belleville, prosi nas o złożenie publiczne jej najgłębszej wdzięczności nieznanemu dobroczyńcy i o wyrażenie jej żalu, że nie mogła tego uczynić osobiście“.

Nikt zapewne nie przeprowadził łącznika między tymi dwoma, tak różnymi faktami, ani nie pomyślał, że dziwny zbawca i szlachetny filantrop są jedną i tą samą osobą. Jeden tylko agent Lapipe wiedział, że pod temi dwiema postaciami zdołał już wystąpić niezwykle pasażer kupieckiego statku, J. W. Forster z Bostonu. Od dworca kolejowego nie spuścił go ani na chwilę z oczu. Widział, jak wyciągnął z kieszeni rewolwer i strzelił do konia.

— Oto jest prawdziwy jankes! — pomyślał.

Pilnie go śledził, gdy zeskoczył pospiesznie z imperyalu i wmieszał się w tłum, jak człowiek, który chce uniknąć wszelkiego spotkania.

— Poco trudził się braniem biletu na inny omnibus! — roześmiał się do siebie.

Był świadkiem także, jak wsunął banknot płaczącej dziewczynie i oddał się szybko.

— Jak to łatwo być szlachetnym, mając pieniądze drugich! — mruknął gniewnie Lapipe.

Mimoto nie aresztował go. Gdy policja natrafi na wybitniejszego złoczyńcę, zawsze śledzi go przez jakiś czas, by w ten sposób odkryć jego współników i miejsce ich przebywania. Tak postanowił postępować Lapipe.

Do tego skłonił go i wypadek, który niespodzianie zaszedł. Idąc za nim w pewnej odległości, by nie być spostrzeżonym, a widzieć wszystkie jego ruchy, przekonał się naraz, że jeszcze ktoś drugi śledzi Forstera. Nie mógł się mylić: dwóch ich szło za Amerykaninem. Zbadał także szybko, że ten drugi nie należy do jego „zawodu“. Jego śledzenie było zbyt niezręczne, by mogło być zawodowem. Był to jeden z włóczęgów ubranych elegancko, bandytów snujących się po bulwarach w poszukiwaniach za coraz nowymi ofiarami, który, będąc świadkiem sceny przy ławce, podejrzewał w szlachetnym filantropie jakiegoś bogatego cudzoziemca lub przybysza z prowincji, łatwego do ograbienia.

Lapipe potarł sobie z zadowolenia ręce. Jeden złodziej chce okraść drugiego! Nic nie wydawało mu się śmieszniejszem od tego. Przypominał sobie, jak wyciągnął raz z wody wielką rybę, która pożerała małą, złapaną na wędkę. Porównanie to bardzo go bawiło.

Tymczasem Forster opuścił bulwary i po minięciu ulicy Clichy, dotarł do ulicy Biot i zatrzymał się przed skromnym, lecz miłym hotelikiem „Księcia Portugalskiego“. Wszedł do środka.

(Ciąg dalszy nastąpi).